

Sztuka życia

Anny Dymnej pójsście na całość

Wacław Krupiński

Kiedy narodziła się Anna Dymna? Bo że urodziła się 20 lipca przed 60 laty w Legnicy, to odpowiedź łatwa i jednoznaczna. Ale kiedy narodziła się Anna Dymna, wspaniała aktorka, która zdobyła popularność, zwłaszcza filmowymi rolami z czasów młodości, przełożyła na służbę ludziom pokrzywdzonym przez los? Oto jest pytanie, by odwołać się do słynnego scenicznego monologu.

I właściwie można by uznać, że Anna Dymna, taka jaką znamy obecnie, narodziła się rzeczywicie dawno temu. To było w Krakowie przy Nowowiejskiej. „Miałam najpiękniejsze dzieciństwo na świecie” – powiedziała mi przed laty. Opowiadała też, że to wtedy mama wpajała jej – Małgosi, jak zwracali się do Anny Dziadyk najbliżsi – że najważniejszy jest drugi człowiek. „Moja mama (...) nigdy nie myślała o sobie, służyła innym. Jeżeli mam coś dobrego w sobie, to na pewno od niej. Moja mama tak nas wychowywała: chcesz sobie pokrzyknąć, to sobie pokrzyknij, tylko najpierw popatrz, czy ktoś nie śpi. Jak leży człowiek na ulicy, to nie odwracaj głowy, bo może on umiera”.

I to są te wartości, które po latach zaowocowały pracą aktorki najpierw na rzecz podopiecznych Schroniska im. Brata Alberta w podkrakowskich Radwanowicach, do której to działalności zachęcił ją ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, które sprawiły, że powołała Ogólnopolski Festiwal Twórczości Teatralno-Muzycznej Osób Niepełnosprawnych „Albertiana” i wreszcie, za namową tego duchownego, założyła we wrześniu 2003 roku swą Fundację „Mimo wszystko”, która z czasem stała się tak znana, aktywna i skuteczna. Dziś to poważna instytucja, która wkrótce otworzy ośrodek „Dolina Słońca” w Radwanowicach, a od lat nie ustaje w staraniach, by powstał kompleks czasowo-rehabilitacyjny dla niepełnosprawnych, położony w nadbałtyckim Lubiatowie, organizująca pomoc dla dziesiątek osób, włączająca się w tyle akcji, animująca stale nowe przedsięwzięcia – artystyczne, jak Festiwal Zaczarowanej Piosenki im. Marka Grechuty, jak i społeczne, jak stypendia dla niepełnosprawnych maturzystów.

Dwa lata temu w krakowskiej Cafe Caroline opowiadała Anna Dymna o lęku, który towarzyszył jej podczas pierwszych spotkań z niepełnosprawnymi umysłowo, jak przeżywała przygotowywane z nimi spektakle... I o wielkiej radości, jaką zaczęła czerpać z tej pracy, o ogromnej radości życia i niespotykanej sile, jaką dawali jej ci nowi przyjaciele. Otrzymała Medal Świętego Brata Alberta uznana ambitnie, że to nagroda na wyrost, zatem tym bardziej poczuła się zmotywowana do dalszej działalności; akurat 30 podopiecznych z Radwanowic, wskutek zmiany przepisów, straciło prawo do warsztatów rehabilitacyjnych, zatem chcąc im pomóc, założyła fundację.

– *Odkąd mam fundację, odkąd mam program w telewizji, zrezygnowałam z rozrywek, z wolnego czasu dla siebie. Wolny czas wolę poświęcać działając z radością i pasją na rzecz innych ludzi* – mówiła mi aktorka. I dodawała: – *Jak w coś wierzę i wiem, że to trzeba zrobić, mam*



nieprawdopodobną siłę. Wtedy jestem jak walec drogowy.

Z jednej strony ma łatwiej – od lat powszechnie lubiana jako aktorka, wie, że Dymnej trudniej odmówić, ale też doświadcza ciemnych stron swej aktywności – osobieliwych podejrzeń, co z tego ma, o co tu w ogóle chodzi albo tylko zdziwień: dlaczego to robi? „A dlaczego mam tego nie robić? Dlaczego mam nie pomagać ludziom, skoro mogę?” – mówiła mi Anna Dymna w 2004 roku. I dobitnie podkreślała: „nienawidzę żyć dla siebie, nienawidzę się sobą interesować. Dlaczego mam odpoczywać, leżeć? Od tego są wakacje, a i tak po kilku dniach mnie korci, by zobaczyć, jakie warunki ma pobliski ośrodek dla niepełnosprawnych”. I opowiadała, jak to czerpie od swych podopiecznych wiedzę o życiu, radość życia, że to dla niej najlepszy gabinet terapeutyczny. Podobnie jak teatr.

Zatem nic to, że zaprzyjaźniony z aktorką Kazimierz Kutz „wzywa” ją od świętych, od aniołów. – *Ja jestem normalnym człowiekiem* – odcina się Anna Dymna, patrząc tymi swoimi roześmianymi oczami. Te również ma po mamie... Podobnie jak spokojnie przyjmuje fakt, że z wolna ta społecznikowska działalność przesłania Annę Dymną aktorkę. „Wie pan, ile zagrałam ról? I ilu jest aktorów, którzy nie zegrali nawet połowy tego? Tak, czuję się spełniona. Nawet bardzo” – usłyszałem przed siedmiu laty.

A kiedy narodziła się Anna Dymna – aktorka? Dość późno. Już na etapie liceum. VII LO im. Zofii Nałkowskiej w Krakowie, kropkę nad i postawił Jan Niwiński, w którego tzw. Kocim Teatrze, przy Klubie Łączności, występowała. To ten emerytowany aktor przymusił Annę Dziadyk, by zdawała do PWST. Bo myślała o psychologii; nawet złożyła papiery na UJ. Po latach powie: „Teraz wiem, że wszystkie moje marzenia się spełniły. Jako aktorka pracując ze wspaniałymi reżyserami; niektórzy byli wybitnymi psychologami, całe życie nie robiłam niczego innego, tylko zajmowałam się psychiką drugiego człowieka. Aktor musi zrozumieć postawę i motyw działania postaci, którą gra. Poza tym zawód ten uczy słuchania i rozmawiania. Tę umiejętność wykorzystuję właśnie teraz w telewizyjnym programie »Spotkajmy się«, w którym prowadzę rozmowy z ludźmi okaleczonymi przez los, śmiertelnie chorymi. I mam z nimi dobry kontakt”.

Dostała się do szkoły teatralnej od razu. I już na I roku stanęła na zawodowej scenie jako Isia (także Chochoł) w „Weselu”, wystawionym w Teatrze im. J. Słowackiego przez Lidię Zamkow. Później u tej reżyserki w realizacji telewizyjnej zagra Pannę Młodą, a w 1977 roku będzie, obsadzona przez Jerzego Grzegorzewskiego, Zosią. Była niezmiernie wiotką dziewczyną o wyglądzie nastolatki. I tak objawiła się Polakom jako Ania Pawlaczka w filmach Sylwestra Chęcińskiego „Nie ma mocnych”, potem w „Kochaj albo rzuć”. Nie zobaczyli natomiast kinomani Anny Dziadyk w kręconym w 1971 roku przez Henryka Klubę filmie „Pięć i pół bladego Józka”. Nie wszedł bowiem na ekrany, niemniej zaważył na całym życiu aktorki.

To na planie tego filmu poznała jego scenarzystę, Wiesława Dymnego. Burzliwe było to poznanie; noc, jakiś hotelik, ona, studentka, mając za sobą ciężki dzień zdjęciowy, nie może spać, bo na korytarzu dwaj podpici faceci grają w ping-ponga. Chce ich uciszyć; Dymny, nieelegancki i agresywny, dostaje od niej w twarz. I oddaje. Parę dni później, gdy ona wraca na plan z Krakowa, czeka, mimo mrozu, na dworcu w Kutnie z przeprosinami i bukietem goździków. Będą razem aż do jego przedwczesnej śmierci w 1978 roku. „Byliśmy małżeństwem tylko sześć lat, a razem to on – i nie mówię tego przeciwko innym moim mężczyznom – wywarł na mnie największy wpływ, on mnie ukształtował” – powie aktorka 20 lat po śmierci męża. I niezmiernie będzie podkreślać, że do tej pory za nim tęskni, że wciąż jest w jej życiu obecny, jest punktem odniesienia i autorytetem.

Zatem może to rok 1971 należy uznać za decydujący w życiu Anny Dymnej?

A może właśnie wspomniany już rok 1978; kiedy to w lutym, mając raptem 42 lata, zmarł nagle Dymny, a parę miesięcy później ona uległa w drodze na plan Mildosa Jancso wypadkowi, który, niewiele brakowało, a położyłby kres wszystkiemu. Gdy odzyskała przytomność, poczuła, jak wielką wartością jest życie, jak niedorzeczne były wcześniejsze

myśli samobójcze... Wypadek spowodował poważne uszkodzenie kręgosłupa, co daje znać o sobie do dziś, a wtedy zdawało się przekreślać wykonywanie zawodu. Wbrew zewnętrznej eteryczności odnalazła w sobie niespotykane siły; zaciskając z bólu zęby ćwiczyła, by odzyskać sprawność, szybko podjęła pracę. U Jerzego Hoffmana zagrała w filmie „Do krwi ostatniej”, wróciła na scenę Starego Teatru, w którym podjęła pracę zaraz po dyplomie. W wystawionych przez Grzegorzewskiego Czechowowskich „Dziesięciu portretach z czajką w tle” wcieliła się w Ninę Zarięczną, co zwieńczyła nagrodą aktorską na XX Kaliskich Spotkaniach Teatralnych. Przyjmowała rolę w Teatrze TVP.

Ale wypadki chodzą nie tylko parami. W lutym 1980 roku jako Barbara Radziwiłłówna w serialu Janusza Majewskiego „Królowa Bona” aktorka pędzi w saniach przez las... Gdy przytomnie, dowiaduje się, że ma skłębony kark i wstrząs mózgu. Znowu miesiące katorzniczej terapii; znowu z tym samym masażystą... Na planie filmu „Na odsiecz Wiedniowi”, kolejny wypadek... Szpital w Dąbrowie Górniczej. Antypatyczna, arogancka dotąd, pielęgniarka spogląda w dowód osobisty aktorki, odgarnia z twarzy pokrwawione włosy i wszystko się zmienia: „O, k...! O, Jezu Święty! O, k...! Maryjo Święta, Panie Doktorze!!! Artystko Dymno do nas przyjechała!”.

Ta seria wypadków sprawiła, że zaczęła się bać. Zatem, na przekór, dała się namówić na...zrobienie prawa jazdy. Od tamtego czasu jeździ sama. Bez kolizji. Następnym tego czasu był związek ze wspomnianym rehabilitantem i narodzinom syna Michała. Została matką mając 34 lata, znowu wiele ryzykując, bo dla pokiereszowanego organizmu było to ryzykowne obciążenie. „Znowu istniała groźba, że być może już nigdy nie zagram”.

To wtedy z dziewczęciami przemieniła się w dojrzałą kobietę, przytyła ponad 30 kilo, by nigdy już nie wrócić do wcześniejszej sylwetki. I ta przemiana stworzyła Annę Dymną, odtwórczynię jakże innych ról. Powab tamtego dziewczęcica pozostał na aktach robionych przez Wojciecha Plewińskiego, przez Dymnego czy na klatkach z nagą Magdaleną w „Dolinie Issy”, sfilmowanej w 1982 roku przez Tadeusza Konwickiego.

„Anna Dymna była zjawiskowo piękna i zgrabna, ale jej aktorstwo z wcześniejszego okresu trudno nazwać zachwycającym. Miała więc wiele szans, by wraz z wiekiem przepaść w tym zawodzie, jak tyle pięknych dziewczyn. A jednak stało się inaczej. Jerzy Hoffman – w reżyserowanej przez niego »Trędowatej« zagrała hrabiankę Barską, w »Znachorze« Marysię Wilczurównę – na dzień jej nazwiska rozpromienia się: No! To jest teraz aktorka pełną gębą! To, co potrafiła zrobić w kilku ostatnich teatrach telewizji, zwłaszcza tych reżyserowanych przez Kutza, oraz ta alkoholiczka w filmie Barbary Sass czy Molly Caldwell u Teresy Kotlarczyk, aż dech zapiera” – napisała Elżbieta Baniewicz w książce „Anna Dymna. Ona to ja”, podkreślając ów przełomowy czas w życiu aktorki. Ona sama dodaje jeszcze do tych ról Małgorzatę z 4-odcinkowego filmu TVP, zrealizowanego na podstawie słynnej powieści Bułhakowa przez Macieja Wojtyńską. Jakże inne było to już aktorstwo, dojrzałe, przejmujące; kreacja w filmie Barbary Sass „Tylko strach” przyniosła Dymnej nagrodę dla najlepszej aktorki na festiwalu w Gdyni. A nie bez wahań przyjęła rolę. Ale reżyserka była przekonana; wiedziała, że Dymna, po doświadczeniach z pierwszym mężem, będzie miała z czego czerpać wiedzę o nałogu.

W ostatnich latach swą popularność aktorka oddała, znowu sławę swą pomnażając, kolejnej inicjatywie, tym razem par excellence artystycznej – Krakowskiemu Salonowi Poezji, który zainaugurowany w Teatrze im. Słowackiego, kierowanym przez męża aktorki Krzysztofa Orzechowskiego, odrodził się w blisko 30 miejscach w kraju i poza nim, stając się kulturowym i socjologicznym fenomenem.

Zatem, kiedy narodziła się Anna Dymna, taka jaką znamy teraz? Aktorka-instytucja, która do „Złotych Masek”, „Złotego Ekranu”, „Złotej Kaczki”, „Złoty Lwów”, do Nagrody im. Aleksandra Zelwerowicza, do „Superwiktor” dodała inne honory, m.in.: wspomniany Medal św. Brata Alberta, Order Uśmiechu, Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne osiągnięcia w pracy artystycznej i dydaktycznej, za działalność na rzecz potrzebujących pomocy”.

Od lat nie tai swego wieku, podobnie jak nie cierpi z powodu sylwetki. Owszem, podejmowała liczne próby, sprawdzała diety... „Teraz, po pięćdziesiątce, to ja mam być zdrowa, czysta, dobra i mądra. A piękne, niech sobie będą te młodzieńki – powiedziała młodej dziennikarce, pytającej aktorkę, jak sobie radzi z tuszą? I poradziła: Niech się pani weźmie za siebie, ja w pani wieku lepiej wyglądam”. Bo aktorka, jak trzeba, nie traci rezonu, a przede wszystkim umie pięknie mówić o życiu, o sztuce, o wartościach, które są im przypisane. Tym bez wątpienia też ujmuje ludzi. Jest w tym szczerość, niezaprzeczoność i jakieś ciepło, co natychmiast zbliża ją do cierpiących, czym zjednuje tak prostych ludzi, jak i wielkich. Tak ujęła kiedyś Czesława Miłosza, gdy chciała otrzymać zgodę poety na wykorzystanie jego wiersza „Miłość” jako hymnu niepełnosprawnych. „Kochany Panie Czesławie. Nie umiem pisać do Noblisty...” – to były pierwsze słowa listu.

A potem jakże przyjazne spotkania; na pierwszym poeta otrzymał od aktorki „najpyszniejsze, bo według przepisu mojej mamy, powiada do mięsa z żurawiny i brzosznic z gruszkami”. Czyż można się dziwić, że jeden słoik zjadł od razu. Bo Anna Dymna uwielbia gotować, i robi znakomite nalewki – specjalność pigwowa i żurawinówka. Podobnie jak lubi rysować fallusy – potworki, zwłaszcza na egzemplarzach sztuk...

Acz, faktycznie na przyjemności czasu ma coraz mniej. Fundacja pochłania go masę, nocą zostaje komputer, maile, pisma; zastąpiły relaks przy grach komputerowych... A przecież wciąż gra w teatrze, nieraz w filmie. Choć już nie tak wiele jak kiedyś... „Fakt, mniej gram, mam więcej czasu, to co – mam siedzieć przed lustrem i patrzeć, czy mi wisi podbródek, czy mam zmarszczki? Przecież wiadomo, że czasu nie zatrzymam... – powiedziała mi w roku 2004. A jakiś czas później dodała: „Dzięki temu, że znalazłam nowe pasje, być może będę jedną z nielicznych nie rozgoryczonych starszych aktorek”.

– *Czasem mi się wydaje, że żyję już około dwustu lat, tyle się w moim życiu wydarzyło – to już wypowiedź sprzed dwóch lat. – Jak się kocha zawód aktora, to się idzie na całość, co spektakl idę więc na całość, ten zawód tego wymaga – usłyszałem też wówczas.*

Wydaje się, że w życiu Anny Dymnej to pójsście na całość jest nadrzędną zasadą. Bez względu na to, czy to rola, w której trzeba się sprawdzić przed reżyserem i publicznością, czy narzucona sobie samej, kiedy to „sprawdzam sobie, czy jako zwykły człowiek też jestem coś warta”.